Algis Budrys

Bóg Ognia

(Firegod)

Rocket Stories, July 1953
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

— **W**asza Wysokość!

D'hai Merssu, Cesarz Wszystkich Słońc, Obrońca Galaktyki, ze spokojem uniósł głowę, spoglądając na swojego premiera, który wpadł jak bomba do komnaty. Jego szczupła, myśląca twarz, nie zmieniła swego wyrazu, gdy obserwował bladego i spoconego człowieka, stojącego po drugiej stronie wyłożonej kamiennymi płytami podłogi. Po skórze ministra przebiegały ostre, nerwowe dreszcze.

— Spokojnie, Tors, spokojnie — powiedział cicho, a jego oczy kpiąco błyszczały spod zwieszających się nad nimi ciężkich, ciemnych brwi. — Teraz jesteś Pierwszym Ministrem – pamiętaj o tym. Pierwszy minister nie wpada bezmyślnie do pałacu, jakby niebo miało mu się zaraz zawalić na głowę. To wywołuje niepokój wśród ludzi. Spróbuj sobie zapamiętać, że nie jesteśmy już parą prymitywnych rabusiów, próbujących obalić Koronę. Teraz to my jesteśmy Koroną. Spróbuj zachowywać się stosownie do tego.

— D'hai, niebo wali nam się na głowę! — wybuchnął bezmyślnie Tors. — Otrzymałem wiadomość, że Ziemianie przedarli się przez Pogranicze, i zmierzają dalej, do serca samego Cesarstwa! Ich statki są niepokonane. Wygrywają bitwę za bitwą! A ludzie się burzą! Powiadają, że czasy rządów Fałszywego Cesarza, skończyły się. Niektóre z garnizonów, podniosły bunt!

Wyraz twarzy Cesarza nadal się nie zmienił.

— Tak więc — stwierdził spokojnie, — Ziemianie nie blefowali, kiedy oświadczyli, że mają zamiar wesprzeć prawa starego Cesarza.

— Tak! Twierdziłeś, że tego nie zrobią, D'hai. Co teraz zrobimy?

— Pomyliłem się, Tors — niewzruszenie rzekł Merssu. — To nieistotne. A co do tego, co teraz zrobimy, to uważam, że najlepiej będzie, jeśli przygotujesz kolejne wystąpienie. Powiedz ludziom, że nasza broń jest w gotowości i zostanie użyta, kiedy sytuacja stanie się poważna, tak więc nie muszą się niczego obawiać.

— Ale sytuacja już jest poważna. I o jakiej broni mówisz?

— Nie mamy żadnej broni, Tors — cierpliwie wyjaśnił Merssu. — Ale ta historyjka posłuży do uspokojenia ludzi – i, być może, dzięki niej zastanowią się dwa razy, zanim się zbuntują. A teraz idź już. Pośpiesz się!

Buty premiera ponownie zastukały po podłodze. Drzwi do komnaty zamknęły się.

Merssu uśmiechnął się spokojnie. Wstał i otworzył ukryte drzwi za swoim tronem. Wślizgnął się do korytarza, o którym nikt nie wiedział, zamknął je za sobą i jakieś dziesięć minut później, był już w prywatnej kolejce pneumatycznej, której linia prowadziła przez pół kontynentu, do serca starego i pustynnego łańcucha górskiego.

Kiedy usiadł wygodnie w wyściełanym fotelu wagonika kolejki, Merssu ponownie się uśmiechnął. Biedny Tors! Taki nadpobudliwy. Zawsze

zachowywał się histerycznie – doskonały z niego rabuś, pewnie tak, ale człowiek niezbyt mądry. Mądry człowiek zawsze wie, kiedy gra jest skończona. I Merssu roześmiał się.

Gra była tego warta. Pięć lat temu, był rewolucjonistą, prześlizgującym się ulicami w nocy, zawsze żyjącym w zagrożeniu i zawsze starającym się zachowywać mądrze. I tak żył przez cztery lata, a potem – Cesarstwo. Władca absolutny całego Większego Obłoku Magellana. A teraz ponownie znalazł się w opałach. Ale było to zagrożenie, które przewidział dawno temu i na które miał przygotowane plany. A ten ostatni rok, wart był ryzyka. Ponownie się roześmiał. Biedny, osaczony przez swoje strachy Tors! Został z pustymi rękoma.

Statek kosmiczny spoczywał, jak pocisk ukryty w komorze nabojowej. Merssu zasunął za sobą drzwi kolejki pneumatycznej i jeszcze raz poświęcił chwilę na podziwianie barbarzyńskiej elegancji jego kształtów. Jeszcze bardziej podziwiał swą przezorność, dzięki której go zbudował. Mądry człowiek zawsze ma w zanadrzu tylne wyjście. Nieśpiesznie podszedł do statku po podłodze hangaru i wsiadł do środka.

Sterówka była niewielka, ale dobrze urządzona. Setki przyrządów sterujących zostało ciasno rozmieszczonych na pulpitach wokół wyściełanego fotela, niektóre z nich służyły do obsługi standardowego napędu, inne do ugięcia hiperprzestrzennego.

Ugięcie hiperprzestrzenne! Merssu lekko się uśmiechnął. To była jego ucieczka – i coś więcej. Był to środek do jego przyszłej władzy i to nie tylko czymś tak niewielkim jak Obłok – dzięki temu wynalazkowi całe galaktyki czekały na jego rządy.

Hiperprzestrzeń! To było coś, co skłaniało człowieka do myślenia. Inny wszechświat, nie poza, ale obok jego własnego, ukryty w złożonych poboczach geometrii Riemanna i matematyki Einsteina. Wszechświat w którym czas płynął szybciej, w którym rok normalnego czasu, obejmował całe stulecia. Statek mógł wejść do tego wszechświata i lecieć tuż poniżej prędkości światła, ograniczenia które, w normalnym świecie stanowiło barierę nie do pokonania dla żadnego ciała materialnego. Ale w hiperprzestrzeni, w której istniała ta sama bariera, człowiek z normalnej przestrzeni mógł lecieć przez setki lat, pokonując wielkie odległości, podczas gdy, dla niego, upływało zaledwie kilka miesięcy.

Merssu zachichotał. Za nim, w przepastnych ładowniach statku, znajdowały się działające modele niemal każdej maszyny i każdej broni, posiadanej przez cywilizację Obłoku. Zabierał ze sobą plany, podręczniki, instrukcje, przetłumaczone na prostą symbolikę, którą mogła zrozumieć każda inteligentna istota. Spakował na swój statek całą cywilizację, gotową do przekazania dowolnej grupie ludzi, którą wybierze. Musiał tylko wejść do hiperprzestrzeni i zgubić się tam, w miejscu, w którym żaden Ziemianin ani buntownik, nie będzie go ścigał. Następnie musi znaleźć prymitywną rasę, ledwie zaczynającą podnosić się z mroków barbarzyństwa. Oferuje im cywilizację. W zamian zostanie – Ubóstwiony!

Ci prymitywni ludzie będą go czcili. Stanie się Merssu, Bogiem Ognia, ciskającym gromy ze sklepienia niebios, przynoszącym wraz z nimi dar

cywilizacji. Kiedy dar ten zostanie już przekazany, wzbije się ponownie w niebo, na słupie ognia, obiecując powrócić, kiedy jego lud będzie gotów.

Roześmiał się gromko, głęboki bas jego głosu odbił się echem po całej sterówce. Dlaczego by nie? Mógł polecieć z powrotem w normalny kosmos, spędzić w nim rok, czekając, podczas gdy na prymitywnej planecie minęłoby wiele wieków. Kiedy na nią wróci, będzie ona należeć do niego, a wkrótce potem cały wszechświat będzie skłaniał głowy przed imieniem Merssu, nieśmiertelnego Boga Ognia, ponieważ nie ma równie wielkiej siły, równie ogromnego oddania, jak siła i oddanie ludzi dla swych bogów.

Ciągle jeszcze się śmiejąc, wystrzelił statkiem z hangaru w ciemność kosmosu, a nieco później pomknął w hiperprzestrzeń, podczas gdy wielkie, niebieskie statki z Ziemi, miażdżyły za nim resztki jego porzuconego Cesarstwa.

Po miesiącu znalazł planetę i odpowiednie istoty. Z wyglądu wyglądali niemal jak ludzie, byli tylko nieco niżsi. Nawet lepiej. Był do nich podobny, ale akurat na tyle odmienny, aby wyglądać jak bóg.

Ruszył swym statkiem z rykiem przez atmosferę, ciągnąc za sobą ogromny strumień ognia. Kiedy przelatywał nad morzem, pokrywającym większą część powierzchni tej planety, podmuch odrzutu jego rakiet, wyrzucał wodę wysoko w górę, zamieniając ją w pianę, a grzmiący odgłos jego przelotu odbijał się echem po niebie.

Na brzegu morza spoczywała cicha wioska. Kiedy statek zaczął schodzić do lądowania, podtrzymywany ciągiem silników rakietowych, chaty z błota trzęsły się i podskakiwały, aż do chwili gdy pojazd powoli usiadł na ziemi.

Lekko się uśmiechając, Merssu nałożył na siebie skafander kosmiczny i zapiął na nim uprząż antygrawitacyjną. Wyleciał przez właz górnej śluzy powietrznej, trzymając w ręku pistolet.

Unosił się w powietrzu ponad wioską. Wycelował broń do góry i wystrzelił z niej. W niebo pomknął stożek płomienia wystrzału. Wycelował w stronę morza i w górę strzeliła wysoka kurtyna pary, zawisając nad wioską.

Merssu obniżył lot i stwierdził, że jego lud czołga się w błocie.

Mijały tygodnie. Strumień ludzi przenosił ładunek statku do wielkiego, rozłożystego budynku, który Merssu wyciął ze skalnej ściany, przy pomocy przecinaka subatomowego. Belki budynku, zostały uświęcone krwią dziewic. We wiosce rozwinęła się nowa klasa ludzi – Kapłani Merssu, Boga Ognia.

I kiedy statek wzbił się ponownie w kosmos, zmierzając z powrotem do normalnej przestrzeni, gdzie Merssu mógłby odczekać swój rok, w czasie którego dla jego ludu minęłyby wieki, kapłani wznosili modły na ołtarzach nowego bóstwa.

— On powróci. Merssu udaje się do swego królestwa w niebie, ale powróci, niosąc w dłoniach płomienie. Merssu, Bóg Ognia – Merssu nieśmiertelny Dawca Ognia – powróci.

I tak minęły wieki.

Merssu sprowadził swój statek z nieba, rozdzierając podczas lotu atmosferę, ryk jego silników rakietowych zagrzmiał potężnie nad ogromnym miastem rozciągającym się nad brzegiem morza. Dźwięk ten odbijał się echem od rzeźbionej fasady Świątyni Merssu i uderzał o ciągnące się wokół budynki.

Statek usiadł na ziemi. Merssu zapiął na sobie paski jednostki antigravu, i pomknął w powietrzu ponad miastem. Wystrzelił ze swej broni w morze i raz jeszcze uniosła się kurtyna pary. Wycelował broń do góry i na niebie zatańczyły płomienie.

Kiedy dotknął ziemi, z głośnym warkotem podjechał w jego stronę niski samochód, z oznakowaniem duchowieństwa Merssu. Z pojazdu wysiadło dwóch ludzi i podeszło do niego. Jeden z nich ubrany był w ciemną czerń kapłana. Merssu stał, czekając na nich, a oczy płonęły mu tryumfalnym ogniem.

— Kim jesteś? — zapytał kapłan.

Merssu gapił się na niego z niedowierzaniem, a jego poza rozpadła się w drzazgi.

— Kim jestem!? Na kolana, głupcze! Jestem Merssu, Bóg Ognia.

Obaj mężczyźni przez chwilę wpatrywali się w niego w milczeniu, a następnie wybuchli śmiechem.

— Merssu! — Kapłan otarł łzy z oczu. Śmiech drugiego z mężczyzn, zaczął przechodzić w gniew.

— Powstrzymaj swój język, bluźnierco! — oznajmił szorstko, wyciągając z kabury pistolet.

— Merssu! — powtórzył kapłan. — Nieznajomy, jesteś głupcem. Inni, którzy próbowali domagać się jego boskiej czci, przynajmniej mieli na tyle rozsądku, by przebrać się i upodobnić do jego obrazów.

— Obrazy się zmieniają, niebaczny kapłanie! — zagrzmiał Merssu. — Jestem Bogiem Ognia! Patrz na mą moc! — Jeszcze raz wystrzelił w morze i ponownie uniósł się słup pary wodnej. — Jestem Bogiem ognia. Przyleciałem na skrzydłach ognia. Chodzę w powietrzu. Mogę spalić ziemię i morze. Jestem Merssu!

Z twarzy kapłana zniknął wyraz tolerancyjnego rozbawienia. Jego usta wykrzywiły się z lekceważeniem.

— Potrafisz chodzić w powietrzu? Mając założony pas antygrawitacyjny Mark XI, pewnie. Możesz spalić ziemię i morze, co? Mając broń energetyczną, nie ma wątpliwości. Latasz na skrzydłach ognia? No cóż, jeśli już chcesz to określić w tak malowniczy sposób, to pewnie i tak – ale robi to również każdy zapijaczony głupiec latający na statku kosmicznym.

— Mówię ci, ja jestem Merssu! — wrzasnął Merssu. — Pokłoń się i oddaj mi cześć!

— Cisza! — Głos kapłana zabrzmiał groźnie. — Pójdziesz a nami do świątyni. Tam zobaczysz, w jaki sposób oddajemy cześć uzurpatorom!

— Zabiję cię! — krzyknął Merssu, unosząc swą broń.

Kapłan skinął dłonią. Towarzyszący mu człowiek odstrzelił Merssu głowę.

— Bluźnierca! — oznajmił z pogardą kapłan, pełnym niesmaku głosem. Wraz ze swym ochroniarzem wrócił do samochodu, pozostawiając leżące na ziemi ciało, które miano zabrać później.

Codziennie wieczorem, o zachodzie słońca, kapłani Merssu stawali nad swymi ołtarzami i intonowali słowa:

— On powróci. Merssu, Bóg Ognia – Merssu, nieśmiertelny Dawca Ognia – powróci.

A lud Merssu intonował w odpowiedzi:

— On powróci.

Po wszystkich galaktykach hiperprzestrzeni, wszędzie tam gdzie dotarli ludzie z planety Merssu, pojawiali się obcy kapłani i odpowiadali im ludzie z obcych ras, ale rytuał był zawsze taki sam.

— On powróci.

I miasto czeka. Czeka cała planeta i inne planety krążące wokół innych gwiazd. Czekają cale galaktyki hiperprzestrzeni.

I zawsze będą czekać.

THE END

KONIEC